

DWA LIPCOWE PORANKI

Mundek był chłopcem posłusznym, ale umiarkowanie. Kiedy więc w połowie lipca jego ojciec nieoczekiwanie rzucił znad porannej jajecznicy: „Czego ty się nic nie uczysz?”, puścił to mimo uszu. Nawet nie drgnął. Nie było to może przesadnie eleganckie zachowanie, jednak Mundek był zdania, że odpowiadanie na tak durne pytania jest poniżej jego godności.

– Weź ty zrób coś pożytecznego, chłopie – zrzędził ojciec, przekopując widelcem jajecznicę na talerzu. – Smarujesz i smarujesz... Jeszcze nie spotkałem takiego, który by wyżył ze smarowania głupot. Nic wam nie zadają? – spojrzął na syna surowo i odsunął talerz z żółtą breją.

Prawdę mówiąc, Mundek rozumiał to rozgoryczenie. Gdyby to on musiał co dzień zasuwać do roboty taki kawał, w dodatku słuchać wrednego szefa od świtu do nocy wbity w garnitur, zachowywałby się o wiele bardziej nieznośnie. Zwłaszcza podczas upałów, w aucie bez klimatyzacji. Ciekawe, że w ich samochodzie klimatyzacja psuła się zawsze, kiedy z nieba zaczynał lać się żar.

Na szczęście Mundek miał dopiero trzynaście lat i w czasie wakacji mógł obijać się zupełnie legalnie, nawet jeśli na ojca działało to jak płachta na byka. A ze wszystkich rzeczy, które na niego tak działały, do szewskiej pasji doprowadzało

go coś, co nazywał „smarowaniem głupot”. Pewnie dlatego, że uważał rysowanie za najmniej pożyteczne zajęcie na świecie, niezapewniające ani trochę przyszłości.

Ojciec fascynował się zapewnianiem przyszłości i najchętniej o tym rozmawiał z matką, z sąsiadami, ze znajomymi (nie było ich wielu) oraz z Mundkiem, choć wtedy raczej przemawiał.

Mundek wynalazł w sobie instynktowny czujnik z wyłącznikiem, którym odcinał uwagę po pięciu minutach każdej przemowy ojca. Nie było to wcale niegrzeczne – dawał ojcu całe pięć minut szansy na oznajmienie czegoś ciekawego. Po upływie tego czasu, z uprzejmym wyrazem twarzy przenosił się w myślach w rejony znacznie bardziej interesujące.

Jednak szanował swojego ojca i współczuł mu nużącej pracy. Nie miał zamiaru drażnić go bez potrzeby.

Zamknął szkicownik i wsunął do kieszeni ukochany metalowy ołówek automatyczny, przez plastików nazywany kubusiem.

Ojciec wstał, sapnął, poprawił spodnie pod więcej niż odrobinę za dużym brzuchem, złapał teczkę i już go nie było. Mundek poczekał, aż ucichnie w oddali znajomy bulgot diesla, i także wyszedł, zamykając drzwi na klucz.

Właściwie miał na imię Rajmund. Nikt by o tym nie pamiętał, gdyby dyrektorka szkoły w Kopytkach nie zwykła zwracać się do uczniów pełnymi imionami, w dodatku cedząc sylaby.

– Raj-mun-dzie, zakładamy wyłącznie białe koszulki gimnastyczne, bez nadruków – upominała (zawsze w liczbie mnogiej, mimo że nikt nigdy nie widział jej w koszulce gimnastycznej, ani białej, ani żadnej innej). – Przyjdź po zajęciach

do sekretariatu, wystosujemy pismo do twoich rodziców w tej sprawie, Raj-mun-dzie.

Brzmiało to, jakby mówiła: „Jutro na apelu kara chłosty. Dwadzieścia pięć batów na plecy i odechce ci się nadruków. Raj-mun-dzie”.

Albo:

– Ka-zi-mie-rzu, widzę, że zalegamy z makulaturą. Czy życzymy sobie, chłopcze, żeby twoja klasa przepadła w akcji Segregacja? Czy nie interesuje nas współdziałanie, Ka-zi-mie-rzu? – pytała, jakby los siedmiu i pół miliarda ludzi zależał od jego pudełek po pizzy.

Czy na przykład:

– Ga-bri-elo, nie jesteśmy już dzidziusiami, nie krzyczymy na przerwach – przypominała i naprawdę trzeba było się wysilić, żeby uwierzyć, że dyrektorka mogła być dzidziusiem k i e d y k o l w i e k. – Ga-bri-elo, na jutro podcinamy grzywkę, chyba Magdalena (mama Gabrysi też kiedyś chodziła do szkoły w miasteczku) nie życzy sobie, żebyśmy pracowały z oczami pełnymi włosów, prawda? – syczała i uśmiechała się tak krzywo, że równie dobrze mogła powiedzieć: „Oto mój pantofel, Ga-bri-elo, natychmiast oczyść go z psiej kupy”.

Mundek przypuszczał, że dyrektor Ściernopolska (Le-o-ka-dia) władała szkołą tak gdzieś od początku świata i dlatego znała każdego po imieniu. Należy jej oddać, że nie faworyzowała żadnego ze swoich uczniów, dawnych czy obecnych – do każdego odnosiła się z jednakową, uprzejmą pogardą. Do wszystkich mieszkańców miasteczka bez wyjątku zwracała się, jakby mieli nie więcej niż piętnaście lat, nieważne, czy chodziło o burmistrza, dentystkę czy właściciela zakładu pogrzebowego.

Postawmy sprawę jasno: dyrektor Ściernopolska po prostu władała całym miasteczkiem. Kopytka miały wprawdzie radę, coś w rodzaju ratusza, straż miejską i herb z raciczką, ale były zdecydowanie zbyt małe i zbyt zapyziałe na tyłu rządzących. Dyrektor Ściernopolska była szarą eminencją miasteczka, które było tak zapomniane, że nawet mieszkańcy nie używali jego nazwy.

Ze szkicownikiem pod pachą Mundek skręcił na obsadzoną lawendą żwirową ścieżkę prowadzącą do mieszkania na tyłach ich domu. Z gęstych zagonów unosił się słodki i lekko mdlący zapach, wśród fioletowych kwiatków uwijały się dziesiątki pszczoł, ale ani jeden komar. Komary nie znoszą zapachu lawendy – informowała go za każdym razem ciotka Tenia, która mieszkała na końcu ścieżki w niedużym pokoju z kuchnią i tycią łazienką. Zapachu lawendy nie znosiła też matka Mundka oraz kilka innych osób, więc mało kto docierał na koniec żwirowej ścieżki. Ciotki to nie martwiło. Nie miała ochoty przyjmować gości, którzy przychodzili do niej kręcić nosem.

– Komary nie znoszą zapachu lawendy – zawiadomiła go w progu, ćmiąc papierosa.

– Jest siódma rano – odparł Mundek. – Komary śpią.

– Ale daleko stąd – uśmiechnęła się, chytrze mrużąc oko za grubym szkłem okularów.

Mundkowi nie przeszkadzał zapach lawendy, znacznie bardziej nie znosił tytoniowego dymu. Kiedy jednak ciotka zagroziła, że jeśli będzie próbował ograniczać jej wolność, to więcej go nie wpuści, dał sobie spokój z namawianiem do rzucenia nałogu.

– Jak ci się u mnie nie podoba, możesz siedzieć w swoim pokoju – powiedziała. – Brudne skarpety i spleśniałe kanapki poupychane po kątach, fiołki i róże, nie ma co!

Gdzie jak gdzie, ale u ciotki Mundkowi podobało się bardzo. Czuł się tu dobrze i swobodnie. Pokój nie był duży, ale miał wszystko, co trzeba, a dla Mundka najważniejszy był kąpielownica z rajzbremem.

Obszerny stół do rysowania z wygodnie pochylonym blatem zajmował całą przestrzeń pod oknem. Parapet za nim zastawiony był słoikami z flamastrami, kredkami, pędzlami i ołówkami, a pod ścianą stały złożone sztalugi. Przy każdej wizycie Mundka ciotka powtarzała, że w młodości była dobrze zapowiadającą się malarką, lecz wolała poświęcić karierę dla życia towarzyskiego (czego jednak nigdy nie żałowała).

Mundek szperał chwilę między pojemnikami na parapecie, wreszcie wyłowił mały bloczek z arkusikami papieru ściernego. Wyjął z kieszeni kubusia, wysunął część grubego grafitu i zaczął ostrzyć go, trąc ukośnie o papier.

– W młodości byłem dobrze zapowiadającą się malarką – oznajmiła ciotka, sięgając po najeżony kredkami kubek. – Wolałam jednak poświęcić karierę dla życia towarzyskiego. I wierz mi, Mundziu, że nigdy tego nie żałowałam. Żyłam niczym kolorowy motyl i zachowałam piękne wspomnienia. Co oczywiście nie znaczy, że masz iść w moje ślady – zastrzegła, a Mundek przytaknął wyrozumiale i otworzył szkicownik.

Nie miał najmniejszego zamiaru iść w ślady ciotki. Przeraziła go myśl o czymś tak zwariowanym jak życie towarzyskie. Nie przepadał za uroczystościami rodzinnymi, imprezami szkolnymi czy jakimikolwiek spędami ludzkimi w celu rzekomej wspólnej zabawy. Uwielbiał jednak towarzystwo